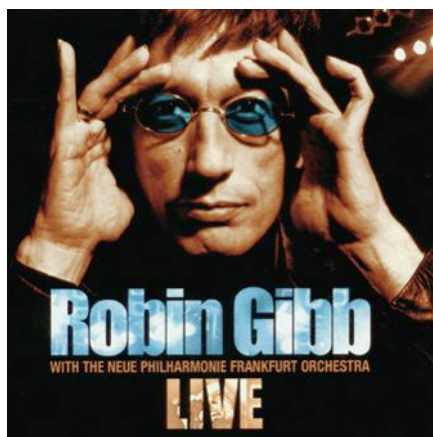


# Kiedy Robin Gibb zszedł ze sceny...

Grzegorz Walenda

Na brak ciekawych koncertów melomani nie mogą ostatnio narzekać. Gdyby nie to, że ceny biletów przekraczają niekiedy 200 zł, to można by niemal codziennie oglądać na naszych scenach artystów ze światowej czołówki. Niestety, mimo tej obfitości nie było u nas grupy Bee Gees, plasującej się w pierwszej dziesiątce pod względem liczby sprzedanych płyt. I nie będzie. Po śmierci jednego z współtworzących ją braci, Maurice'a Gibba (2003), nie wystąpi już nigdy w pełnym składzie. Przyjechał do nas za to inny muzyk z tego zespołu – Robin Gibb.

**Z**anim o jego koncercie, kilka słów na temat grupy, której Robin był częścią przez ponad 50 lat. Skąd nazwa Bee Gees? Przyjęło się, że jest skrótem od „Bracia Gibb” (po angielsku – „Brothers Gibb”). Tylko że Anglik powiedziałby raczej „Gibb Brothers”, czyli pierwsze litery w liczbie mnogiej brzmiałyby „Gee Bees”. Jest też



inna teoria na ten temat. Mówi ona, że nazwa pochodzi od nazwisk dwóch zupełnie innych osób, które doceniły zespół w czasie jego występów w Australii. Byli to didżej Bill Gates i promotor wyścigowy Bill Goode. Podobno to ten pierwszy wpadł na pomysł, aby ich (czyli jego i Billa Goode'a, a niektórzy twierdzą, że również Barry'ego Gibba) inicjałami nazwać angielskie trio wokalne, złożone z bliźniaków – Robina i Maurice'a Gibba (ur. w 1949 roku) oraz ich starszego brata, Barry'ego (ur. 1946). A działo się to po występie pochodzących z wyspy

Man piosenkarzy w Brisbane (1958). Tam właśnie Goode ich usłyszał i postanowił wylansować.

Dalszą historię fani dobrze znają. Pozostałym przypomnę, że pierwszym przebojem grupy było „Wine & Women”, wydane na debiutanckim longplayu „The Bee Gees Sing and Play 14 Barry Gibb Songs” (1966). Ale dopiero kiedy w 1966 roku singel „Spicks and Specks” okrzyknięto największym australijskim hitem, młodzi muzycy mogli mówić o sukcesie. Wtedy też ich nagrania usłyszał ówczesny menedżer Beatlesów, Brian Epstein i polecił je innemu człowiekowi z branży – Robertowi Stigwoodowi. Ten uwierzył w młodych wokalistów i podpisał z nimi pięcioletni kontrakt.

Rozpoczął się pierwszy okres popularności zespołu. Dopiero jednak era disco lat 70. XX wieku wyniosła Bee Gees na szczyty. Wtedy to na pierwszy plan wybił się falset Barry'ego, tworząc charakterystyczne harmonie z głosami pozostałych braci. „Oto jesteśmy...” („Here we are...”) intonował Barry Gibb jeden z największych hitów Bee Gees z tamtego czasu, czyli „Nights On Broadway”. Do dziś trudno spokojnie usiedzieć, kiedy się słyszy te słowa i towarzyszący im taneczny rytm. Dodam, że album „Main Course” (1975), z którego pochodzi utwór, zawierał też superhit „Jive Talkin’”. Może nie cały materiał był doskonały, ale te dwa numery zapowiadały coś wyjątkowego. I rzeczywiście! Wkrótce The Bee Gees zatriumfowali.

Sława przyszła wraz z „Gorączką sobotniej nocy” („Saturday Night Fever”, 1977). Do muzyki braci Gibb tańczył w tym filmie młody John Travolta. Wydana na płycie ścieżka dźwiękowa rozeszła się w rekordowym nakładzie. Później Barry Gibb skomponował utwór tytułowy do jeszcze jednego filmowego hitu – „Grease” (1978). Wreszcie na listy bestsellerów trafił longplay „Spirits Having Flown”(1979), wypełniony przyszłymi przebojami. Bee Gees stali się jedynymi





wykonawcami, których sześć kolejnych (samodzielnie napisanych i wykonanych) utworów dotarło na sam szczyt listy przebojów i którzy umieścili równocześnie w pierwszej dziesiątce amerykańskiej listy aż pięć swoich nagrań.

Program „Spirits Having Flown” rozpoczyna „Tragedy” – istny gejzer dyskotekowej energii. Po nim jest nieco spokojniejszy, melodyjny „Too Much Heaven”, a następnie tempo znów przyspiesza i pojawia się „Love You Inside Out”. Same perełki! A przecież nie wymieniałem jeszcze dynamicznego „Living Together” czy ballady „Until”. „Spirits Having Flown” to jedna z ważniejszych płyt stylu disco, o ile nie najważniejsza.

Później zespół nadal nagrywał i czasami nawet udawało mu się zabłysnąć, czego przykładem krążek „This Is Where I Came In” (2000), ale już nigdy nie było



tak dobrze jak wcześniej. Trochę magii udało się wyczarować na płycie „Guilty” Barbry Streisand (1980). Barry Gibb był jej głównym producentem i wspólnie z braćmi dostarczył większość kompozycji oraz śpiewał. Największy sukces odniosło nagranie tytułowe i miłosny temat „Woman In Love”.

Ten ostatni znalazł się w programie warszawskiego koncertu Robina. Oczywiście nie zaśpiewał „Jestem zakochaną kobietą”, jak Barbra Streisand, tylko „Jesteś zakochaną kobietą”, ale reszta była już taka jak na „Guilty”. Przebój Barbry Streisand nie był jedynym „kobiecy” utworem, który artysta przypomniał. Trzeba bowiem wiedzieć, że jeśli bracia nie pisali dla siebie, to robili to głównie dla piosenkarek. Dlatego publiczność w Kongresowej usłyszała jeszcze kompozycję „Heartbreaker” (1982), napisaną dla Dionne Warwick. Ciekawe, że wokalistce nie przypadła ona do gustu. Na szczęście uwierzyła, że zyska zwolenników. Tak też się stało. Utwór zawędrował do złotej setki miesięcznika „Billboard” i dotarł do drugiego miejsca brytyjskiej listy przebojów dla dorosłych. „Płakałam w drodze do banku” – żartowała wokalistka, wspominając historię tej piosenki. I jeszcze jeden przebój Bee Gees, który tym razem rozślawiła gwiazda country – Dolly Parton. Nosi tytuł „Islands In the Stream” (1983). Oryginalnie Parton nagrała go wspólnie z Kenny Rogersem, a gdy stał się przebojem (w 1984 roku otrzymał „Grammy”), wykonywali go także autorzy (m.in. na pamiętnym, wydanym na DVD, koncercie „One Night Only”).

Oprócz zaprezentowania utworów Bee Gees wylansowanych przez innych artystów, Robin Gibb sporo czasu przeznaczył na hity z pierwszego okresu działalności grupy, kiedy to on był frontmanem. Usłyszeliśmy m.in. „New York Mining Disaster 1941” – pierwszy wielki hit tria w USA (1967). Bee Gees nie byli tam jeszcze wtedy znani i podejrzewano, że Beatlesi zrobili sobie żart, podpisując swój kolejny premierowy utwór nazwą innej grupy. Te domysły podkreśliły zainteresowanie piosenką, a kiedy sprawa się wyjaśniła, Bee Gees zdobyli uznanie fanów za Oceanem. Od tamtej pory każdą płytę braci witano w USA równie ciepło jak nowe przeboje Beatlesów i Stoneów. Mimo że Robin Gibb najlepiej czuł się właśnie w tych starszych piosenkach – kiedy je wykonywał, na jego twarzy pojawiał się szerszy uśmiech – to nie zapomniał o największych dyskotekowych hitach, z „Tragedy” na czele. Brakowało jednak trochę falsetu Barry’ego. Chyba nawet bohater wieczoru zdawał sobie z tego sprawę, bo kiedy publiczność zgromadziła mu owację na stojąco, oświadczył, że żałuje, iż nie zaprosił brata do Warszawy. Może następnym razem? Owszem, towarzyszył mu śpiewający tercet, złożony z dwóch piosenkarek i wokalisty, ale nie wszystko wychodziło tak jak z rodzeństwem. W końcu to Barry w późniejszych latach działalności zespołu najbardziej się wyróżniał, a Maurice zwykle odpowiadał za całą oprawę, grając niemal na wszystkich instrumentach. Robin tylko śpiewał.

Tak też było w Kongresowej. Nie towarzyszyła mu tym razem orkiestra symfo-

niczna, jak w Bonn, gdzie zarejestrowano koncertowy album „Live” (2005). Zespół był jedynie czteroosobowy, ale grał, jak trzeba. Gibb wystąpił w ciemnym garniturze z krawatem. Elegancko, ale trochę za poważnie jak na króla dyskotek. Dopiero podczas bisów nieco poluzował krawat. Scena nie była udekorowana. Jedynie za muzykami wisiał ekran, na którym wyświetlano powiększony obraz ze sceny i materiały archiwalne z historii grupy. Bardziej kolorowo było na widowni. Publiczność bawiła się doskonale. Przeważali przedstawiciele średniego pokolenia i nieco starsi, pamiętający zapewne muzykę Bee Gees ze szkolnych zabaw. Nie brakowało jednak także młodszych, znających „Nights On Broadway” z płyt rodziców lub po prostu lubiących dobrą muzykę.

Grupa należy do światowych rekordzistów, jeśli chodzi o sprzedaż płyt (ponad

220 mln egzemplarzy). Widząc rozbawioną publiczność na warszawskim koncercie, można przypuszczać, że ten wynik może się jeszcze poprawić. Zwłaszcza że Robin i Barry myślą o powrocie na scenę pod szyldem Bee Gees.

Wracając do gwiazdy warszawskiego koncertu, warto dodać, że oprócz pracy z braćmi Robin działał także jako solista. W tej roli debiutował w 1970 roku albumem „Robin’s Reign”, a potem nagrał jeszcze kilka płyt; najbardziej spodobała się chyba „How Old Are You?” (1983) z przebojem „Juliet”. Ostatnio zajął się jeszcze innym projektem. Wspólnie z synem pracuje nad dłuższą kompozycją „The Titanic Requiem”, upamiętniającą setną rocznicę katastrofy Titanica.

Warszawski koncert miał jeszcze jedną charakterystyczną cechę. Wśród śpiewanych przez Gibba piosenek nie było nieznannej; tego popołudnia królowały prze-



boje. Koncert zaczął się równo o 18:00 i trwał prawie dwie godziny. Później można było pójść na zakupy albo posiedzieć przy piwie. Niby tak samo jak w zwykły wieczór, ale ten był wyjątkowy. W końcu widzieliśmy na scenie artystę, który zrewolucjonizował muzykę dyskotekową, wypromował Johna Travoltę i któremu tacy mistrzowie jak Barbra Streisand, Dolly Parton i Dionne Warwick zawdzięczają wielkie przeboje. Ba, nawet sama Celine Dion nie miałaby bez niego hitu „Immortality” (1998). Nie, to nie był zwyczajny wieczór. Kiedy Robin Gibb zszedł ze sceny, piwo smakowało zupełnie inaczej. ■